„-Czy to nie byłoby straszne, gdyby pewnego dnia w naszym świecie, na Ziemi, ludzie zdziczeli w środku, jak te zwierzęta tu, w Narni, a z zewnątrz wyglądaliby nadal jak zwykli ludzie, tak że nigdy by się nie wiedziało, z kim ma się do czynienia?”

C.S.Lewis

Bestiariusz , z definicji ,zbiór opisów wszystkich gatunków zwierząt, tych rzeczywistych jak i wymyślonych…

Smoki dnia dzisiejszego , niczym włoskie karykatury z filmu ” I mostri oggi” , niedźwiedzice walczące o przetrwanie, lisy, pomnikowe sfinksy trwające mimo upływu czasu, feniksy ekonomii, przedziwne twory natury i ludzkiej inteligencji, które w naszym świecie budzą podziw i przerażenie (nie zawsze w tej kolejności). To właśnie mój Bestiariusz. Namacalny, dosłowny, nawet jeżeli nieco przerysowany to dlatego , że właśnie drasnął mnie w dosłowny sposób pazur którejś z bestii.

Wszystko jest rzeczywiście ale nie oczywiste, bo wtopione w tak piękny, wielobarwny krajobraz Toskanii. Najpierw widzi się szpalery cyprysów, równe rzędy winnic i szachownice oliwnych gajów a potem dopiero nieregularne kształty. Wtopione miedzy barwne krajobrazy a antyczną architekturę bestie pojawiają się tylko wnikliwym obserwatorom. Straszne, sympatyczne, przynoszące szczęście lub w bazyliszkowy sposób perfidne – jak w prawdziwym bestiariuszu, maja swoje środowiska działania, tereny łowne i życie codzienne. Jeśli macie odwagę poznać inną choć przecież wciąż tę sama Toskanię – zapraszam.

Brrrrr…brinata! Wszystko okryte siwizną przymrozku. Rzecz jasna tutaj, na otwartych polach nie w miasteczkach, na wzgórzach, miedzy murami. Wysokie grzywy trzcin i dywanowe sploty trawy i jeżyn nad fosami – wszystko oprószone białym szronem.

Wąski pasek „ziemi niczyjej” nad długą fosą odprowadzającą wodę ze zmeliorowanych niegdyś pól pod miasteczkiem, iskrzy się białymi wzorami . To tu jeżyły kły komary wespół z malarią nękając biedaków, których nie stać było na życie w mieście. Tymczasem jest wczesny poranek, jak na Toskanię mroźny bo -2.Na równinie tylko jakaś zagubiona „panda „ myśliwego przesuwa się miedzy mgłami po polnych drogach. Zima jakby nieśmiało zaczyna zaglądać do Toskanii. W przerwie miedzy trzcinami , których nikt nie kosi bo wchodzą w skład dumnie opisanej „Riserva faunistica”, wlewają się od wschodu strugi słońca, dopieszczają i wyciągają detale każdej trawki. Ostatnie wysrebrzenie oszronionych pól i… klapnie wszystko na ziemię. To przecież nie jest jeszcze prawdziwa zima. Do dziewiątej będzie tu jesienno - wiosennie, bez śladu zimy. Ale póki co…

Brrr … brinata! Parskają Toskańczycy i zmykają pospiesznie do swoich barów. Nic w tym dziwnego, w końcu w tym kraju cappuccino to śniadanie robotnika śpieszącego do pracy a nie kawiarniany luksus. Bary to osobny temat, podobnie jak , żelazne reguły żywieniowe. Moja całkowicie polska małżonka biorąc w pracy po obiedzie rogalika i cappuccino budzi szczere zdumienie – śniadanie po obiedzie?! Tymczasem pod butami chrzęści zapowiedź zimy. To tutaj Dino opowiadał mi jak łowi trzciną żaby i że

bocian „niedobre ma mięso” a podobne do czapli białe brodzące ptaszyska to „solo tubo” i nawet na rosół się nie nadają. Wszystkożerny Toskańczyk z pogranicza, kalabryjczyk z urodzenia, jest już na emeryturze, zawadiacko podkręca wąsa, poprawia czapkę moro wylicza swoje miłosne zdobycze. Może nie teraz bo akurat jest po operacji, ale jak się podniesie… kto wie?

Siwizna pól zaczyna przygaszać, mgła nie zamyka już nieba, wzgórze miasteczka strzela w niebo kamienna wieżą. Mroźny poranek zaczyna przepuszczać odgłosy… pociągi…klaksony…kogut z gospodarstwa Erosa… Mgła przepływa w dolinę Valdichiany. Rozpoczyna się dzień. Zupełnie nie zimowy.

Powoli po srebrnej koronce szronu zostają tylko szarości i czernie. Tu i ówdzie kolorowe plamy niedostrzegalnych wcześniej złocistoczerwonych liści, brązów we wszystkich możliwych odcieniach. Barwy nie w pełni jeszcze doświetlone, bo niebo wysoooko a tu ciągle nad ziemią gęstawa mgła.

To z takiej mgły wynurzyli mi się kiedyś, poznani tu, toskańscy „pensionati”. Przedziwna cywilizacyjna nacja, ludek niesłychanie odporny, twardy i oryginalny. Zupełnie jak dziś, wygrzebuje z pamięci podobny mglisty dzień. Z oparów wyłaniają się dostojnie dwie kulisto przysadziste, cebulasto napęczniałe odzieżą, krępe postacie. Z bliska jakiejś bajkowej trollowatosci dopełniają okrągłe twarze, wielkie nochale, grube rysy. Emeryci- robotnicy. Błogosławieństwo toskańskich posiadaczy ziemi i obcokrajowców, którzy zakupili tu wille z wielkimi ogrodami. Przekleństwo oczekujących na pracę młodych ludzi. Pensjonati bowiem w pełni sił(nie mylić z polskim emerytem), niewymagający, spoglądając taksującym wzrokiem na zarośnięte jeżyną i chwastem zbocza przeliczają to na godziny pracy i zawartość kieszeni. Nie pytają o ubezpieczenie, wymiar godzin, dni świąteczne, umowę. Moi znajomi o stu imionach, dla których najwłaściwszą orientacją polityczną jest dobra kolacja, skarbnice wiedzy o grzybach i warzywniakach, dzielący grubo miejscowe toskańskie perły winorośli na bianco i nero, co nie przeszkadza im w produkcji świetnych win (najczęściej z winogron gospodarzy). Bruno, Sesto, Mario, Dino, Ottavio (od Ottavo – ósmy, nie od Oktawiana), najczęściej nieposiadający więcej własnej ziemi niż warzywniak, uprawiają dziesiątki hektarów gruntu, winnic, gajów oliwnych i ogrodów. Z większym lub mniejszym skutkiem pochylają się nad winnicami i pomidorami, pracują w oliwettach i na polach słoneczników, wykorzystując najczęściej wiedzę uzyskaną od ojców czy dziadków.

I tak przewyższają zwykle doświadczeniem samych właścicieli. Dzięki słynnym włoskim przepisom z okresu nazywanego tutaj „baby pensionato” udało im się przejść na emeryturę w wieku 60 a często i 50 lat. Do dziś jest to wspominane z rozrzewnieniem przez Włochów. Niektórych.

Schodzimy na ziemię, twardą i dzisiejszą. Ostatnio poznani przeze mnie osobnicy tej szczególnej rasy to właśnie wspomniani Dino, Ottavio i Armando. Armando odszedł szybko, po 20 latach pracy jako emeryt, w wieku lat 82. Krótko potem gruchnęła wieść o pogrzebie w jego rodzinie. – Armando? – Pytam zatroskany.

Nieee – machają rękami pozostali. – Jego povera mamma – wyjaśniają. Kiwam głową w szczerym zdumieniu. O szczęśliwy kraju oblany słońcem, winem i oliwą gdzie mamy dożywają swoich spokojnych 100 lat.

Koledzy Armanda, (który ma się wciąż dobrze) to smakosze. Jak każdy zresztą Toskańczyk, według mojej skromnej wiedzy. Kiedy ich rozmowy schodzą na tematy żywieniowe, twarze się rozjaśniają a usta

mlaskają raz po raz wymieniając potrawy, smaki, składniki… Nie to zdecydowanie za sucho powiedziane. Same opowieści Dina o łowach (w dużej rozpiętości znaczenia łowów: od żab do dzików) pozbawione może homerycznej swady, wymagałyby osobnego opowiadania. Dino, nieco wyższy od pozostałych, podkręca wąsa, podpiera się pod bok i w tej oratorskiej pozie opowiada o zdobyczach. Wpatruje się przed siebie jakby już je tam widział w formie pieczystego. Płynie opowieść o świeżych pomidorach, rybie na żarze (brustico), wentrescach i szynkach, o kruchych zającach i zbieranych o świcie ślimakach, kluskach pici toczonych w rękach i osobiście przyrządzanych solonych piklach… opowieść o cichych bogach Toskańczyków. O Smaku i Sytości.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

maciejdroga, dodano 02.01.2012 10:34

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.